

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Mleczna droga.

Wkoło noc mroźna, grudniowa,
Srebrzy się blaskiem księżycą,
Co za obłokiem się chowa,
Lub znowu wysuwa lica.

Jakaż to jasna i długa,
Na niebie widnieje wstęga?
Miliardem gwiazdeczek mruga,
Po za horyzont aż sięga?

Żali to owa do nieba
Wiodąca po śmierci ścieżka,
Po której duszy iść trzeba,
Tam, kędy sam Pan Bóg mieszka?

Widzę ją — jakbym w swej dłoni
Sama ją sobie uwila —
Matuchno! ach, jabym po niej
Do nieba zaraz trafiła...

.....

Och, nie, kochana dziecino!
Nasz bieg żywota nie taki —
My musim ziemską drożyną,
Kamienistemi iść szlaki...

Nauce Chrystusa wierni,
Koniecznie musim iść drogą,
Na której najwięcej cierni,
Krainą w radość ubogą.

Tylko duch zmarłych przedwcześnie
Dziatek i ludzi bez winy,
Jak gołąb, ulata we śnie
Wysoko, w górne krainy...

Ta wstęga, co w niebie ginie —
To tylko gwiazdek przestworze,
Po tej zaś gwiazdek drabinie
Jedynie duch wzniesć się może...

Wiktor Dzierżanowski,



Wspomnienie.

Obrazek z życia.

W suto oświetlonym pokoju państwa Dalskich zebrała się cała rodzina. Przed chwilą dopiero opuścili stół wigilijny, a teraz oto czynią się energiczne przygotowania do starodawnego zwyczaju uczczenia świąt, przez rozdanie domownikom gwiazdki.

Na środku pokoju stoi olbrzymia, pięknie i obficie przybrana choinka. Wokoło niej kręcą się dzieci Dalskich; twarzyczki ich zarumienione, w oczach wyraz zaciekawienia.

— A przynieśli już skrzynkę z miasta?

— Zrana przynieśli — odpowiedziała pani Dalska.

— To niech Mateusz tu postawi.

Za chwilę wszedł służący, dźwigając na plecach wielką skrzynię drewnianą.

Mimowoli skupili się wszyscy bliżej pana Dalskiego, śledząc z zaciekawieniem, co też w tej pacy być może.

Otworzono ją wreszcie. Stary Mateusz podniósł ostrożnie wieko, a pani Dalska przy pomocy siostry zaczęła ją opróżniać.

Czego w tej skrzyni nie było!

Za każdym ruchem ręki matczynej, dzieci wydawały okrzyki radości i zdziwienia, bo istotnie było się czego radować i dziwić. Wszak to wszystko dla nich, a ileż tam pięknych i dobrych rzeczy.

Oto kilkanaście paczek, w różnokolorowe papierki strojnych pierników, to znowu olbrzymie włoskie orzechy złoczone. Dalej ukazują się pomarańcze, jabłka, orzechy i cukierki.

— A to co? — wołają dzieci, widząc jakieś pudełeczka błyszczące.

— To żołnierzyki blaszane dla Jasia.

— A to co? — wołają dzieci znowu.

— To lalka.

— Lalka?

— Tak lalka, to już niespodzianka dla Kazi — objaśnia pani Dalska.

Tymczasem pan domu, siedząc nieruchomie w krześle, utkwiał wzrok jakiś smętny w tych wszystkich łakociach i drobiazgach i patrzył tak długo, milczący, aż w końcu wielka łza spłynęła mu po twarzy zadumanej... Otrzymał się jednak nagle z tej zadumy, a nie chcąc mieć świadków swego rozczulenia, otarł łzę prędko i tak mówić zaczął do obecnych:

— Nie uwierzcie, jak dawne bardzo wspomnienie odżyło w mej duszy na widok tych drobiazgów. Gdybyście chcieli posłuchać.

— Ależ posłuchamy, posłuchamy z przyjemnością! zawołali wszyscy jednogłośnie, otaczając mówiącego.

— A więc słuchajcie. Będzie temu już lat

blisko 40. Miałem wtedy dziesiąty rok i jako uczeń pierwszej klasy gimnazjum, przyjechałem do rodziców na wieś, na święta Bożego Narodzenia. I u rodziców moich przestrzegany był zwyczaj, który i ja dziś święcie zachowuję, t. j. uroczysty obchód gwiazdki. I tak, jak wy dziś oto w tej chwili, tak samo u rodziców moich zbieraliśmy się wszyscy po wigili, i tak samo dzieci i starsi nawet otrzymywali podarki na gwiazdkę.

Ja jeden tylko tego wieczoru nie podzielałem radości reszty dzieci, a były ku temu ważne bardzo powody. Przywiozłem świadectwo złe, bardzo złe. Ojciec przyjął mnie chmurny, mówił do mnie niezmiernie mało, starając się unikać w ogóle zarówno mnie, jak i rozmowy ze mną. To mnie bolało stokroć więcej, niż największy wybuch gniewu ojca, choćby kara cielesna nawet. Chodziłem przygnębiony i struty, mając żal do wszystkich, a przedewszystkiem do siebie za to, że nie potrafiłem dobrego świadectwa zdobyć.

Więc też i po wigili, w chwili, gdy wszyscy rozradowani, weseli otoczyli choinkę, w oczekiwaniu na gwiazdkę, ja zachowywałem się zupełnie obojętnie.

Naraz wniesiono wielką pakę z piernikami na gwiazdkę.

— Gwiazdka! Gwiazdka wołali wszyscy chórem, zbliżając się do rodziców, mających rozdać właśnie podarki.

Ojciec pochylił się nad paką i zaczął wyjmować najrozmaitsze drobiazgi. A była tam moc ładnych rzeczy. Dla każdego z dzieci sprowadzono odpowiednie podarki. Staliśmy wszyscy w rzędzie tuż przy ojen.

— No dzieci — mówił pocziwy ojczysko — spoglądając na nas kolejno. — To dla was. Byłyście cały rok grzeczne, uczyliście się dobrze, należy wam się nagroda.

To mówiąc, spojrzał na mnie jakimś dziwnym wzrokiem, w którym przebijały wyrzuty i żal głęboki.

— Dzieci grzeczne i te, które się dobrze uczą, warte są nagrody — powtórzył ojciec z naciskiem, patrząc na mnie badawczo.

Nie mogłem przenieść tego wzroku. Okropny żal jakiś ścisnął mi serce, kurcz schwycił za gardło, wybiegłem z pokoju jak strzała i dopiero, znalazłszy się w naszym pokoju dziecięcym, dałem folę żalowi, wybuchając wielkim płaczem.

Ale była to dla mnie wyborna lekcja. Odtąd, jakkolwiek minęło to już lat czterdzieści, nigdy nie uczulem takiego upokorzenia, jak wówczas, kiedy ojciec dał mi odczuć, że jako zły uczeń, nie wart jestem podarunku na gwiazdkę.

Pojechawszy po świętach do gimnazjum, zabrałem się z ogromną energią do nauki i odtąd przechodziłem już z klasy do klasy zawsze, jako

pierwszy uczeń, a gdy mnie czasem opanowało lenistwo i niechęć do pracy, przypominałem sobie zawsze gwiazdkę.

Ona dodawała mi bodźca do pracy przez całe życie i dzięki jej, zdobyłem właśnie wybitne stanowisko, jakie dziś zajmuję. A teraz oto, rozdając wam podarki, odżyło we mnie dawne wspomnienie i pamięć przywiodła mi przed oczy ukochanego ojca...

Rodzina cała, wsłuchana w opowiadanie pana Dalskiego, zapomniała w tej chwili o gwiazdce, dopiero widok rozłożonych na stole podarków, wrócił wszystkim dawną wesołość i ochoczość do zabawy.



Miłość braterska.

W Tulezynie na rynku stoi gromada podolskich chłopków; żołdacy z karabinami otaczają ich do koła, a niewiasty trzymając w rękach podróżne tłomoki, zanoszą się od płaczu. Sprawnik ogląda chłopka po chłopku, a biada temu, po którego opatrzeniu rzeknie: „Łob“ — bo to znaczy, że zdatnym jest do wojska, że mu trzeba golić głowę i oblec go w suknie rekruta.

Gromada ze drżeniem słucha tego słowa: łob — i za każdym jego wyrzeczeniem nowemi zalewa się łzami. I słusznie, bo rekrut pójdzie zdaleka od rodziny, zapędzą go, Bóg wie jak daleko, zapomni swej ojczyzny, języka, a czasem i wiary! Nie zobaczy go już ojciec ani stara matka, która załamując ręce, woła:

— Na to żem cię nieszczęśliwa wychowała, abyś mię tak prędko na zawsze opuścił?

Rekrut odziany w szynel i oddany pod straż kozaka, wygląda jak winowajca na śmierć skazany, błądzący z żalu i trwogi, które powiększa jeszcze płacz zebranej obok niego rodziny.

— Mateusz z Pietniczan! — zawołał sprawnik na młodego wieśniaka, na którego wychudłej twarzy znać jeszcze było ślady wczorajszego pożegnania z żoną, ze starym ojcem i z trojgiem małych dzieci.

Wieśniak wystąpił z gromady! był młody, dorodny, wszyscy więc oczekiwali tego słowa „łob“, które przecież powstrzymało się w ustach sprawnika na głos człowieka biegnącego spiesźnie przez rynek i wołającego z całej siły:

— Wstrzymajcie się, wstrzymajcie!

Wszyscy zwrócili się w stronę biegnącego młodego człowieka, który się zatrzymał przed sprawnikiem, i wskazując ręką na Mateusza, powiedział:

— To nie ten ma iść do wojska, ale ja. Odeślijcie Mateusza do Pietniczan, ja Jędrzej brat staję na jego miejsce.

— Jędrzeju! — zawołał rekrut — i dwaj bracia rzucili się w swoje objęcia.

— Jędrzeju, ja nie pozwolę, żebyś ty poszedł cierpieć za mnie!

— Takem prosił Boga — odrzekł chłopak — żeby przybyć na czas: piechotą, z pod Bałty — kawałek drogi! ale jednak zdążyłem; jesteś więc ocalonym.

Mateusz opierał się, obecni płakali, Jędrzej dodał:

— Krótka sprawa, bracie; ty masz żonę i dzieci, co tam płaczą za tobą; ja jestem sam jeden. Wracaj więc do nich, i pozdrów ojca odemnie.

Na to wspomnienie żony i dzieci, Mateuszowi łza w oczach stanęła. Uściśnął więc brata z uczuciem nieoskreślonej wdzięczności, i oddawszy mu garstkę kopiejek, które był sobie na drogę przysposobił, rozplakał się jeszcze raz nad nim, i ruszył do Pietniczan.

Wieczor był na schyłku. Mateusz zbliżył się po cichu do okna swojej chaty, aby zobaczyć co w niej robia.

Jakoż przy palącym się jeszcze ogniu na kominku, ujrzał dokładnie starego ojca w ponurem pogrążonego zamyśleniu, i żonę z załamane-
mi rękami, której szlochanie sąsiadki jak mogły uspokajały. Płacz i krzyk nieszczęśliwej matki co chwila bądział troje małych dzieci, śpiących na nierozebnanem łóżku.

— Już ja go nigdy nie zobaczę! — wołała w rozpacz — o biedni my biedni!

— O nieszczęśliwy ja ojciec! — dodawał stary.

A te wykrzykniki rozdzierały serce Mateuszowi stojącemu pod oknem; nie mogąc więc znieść ich dłużej, wpadł jak kula na środek izby, wołając:

— A dyć ja jestem tutaj, nie płaczcież, bo mi serce pęka.

Wyobraźcie sobie, co za radość gwałtowna nastąpiła po całodziennym rozpacz! W jednej chwili ojciec, żona i sąsiedzi obściskali rekruta, krzycząc, płacząc i zanosząc się z radości. Dzieci rozbudzone, rozespiane jeszcze, powstały z łóżka, biegnąc do ojca, który siadłszy nareszcie na ła-

wie, pobrał je na ręce, gdzie po chwili na nowo zasnęły.

Mateusz pokrótce opowiadał rodzinie, co się z nim przez ten czas działo, i jakim sposobem został wyzwolony.

Wszyscy słuchali w milczeniu, a gdy w końcu opowiadania ujrzeni jako ofiarę obecnego szczęścia swojego poświęcenie braterskie, klękli ze łzą w oku koło obrazu Najświętszej Panny, modląc się o szczęście, zdrowie i rychły powrót dla dobrego brata Jędrzeja.



O dowcipnym szewczyku.

Stara bajka.

(Dokończenie).

Przebrał się Jasiak za siwego, jak gołąbek dziadka, zgarbiony i kaszlący powłókł się na dwór książęcy. Spiewa pod płotem godzinki, a ucho na wszystko bacznie obraca. Nie długo bawiący, dowiedział się, jako książę pan cierpi na bezsenność. Radził się już rozmaitych lekarzy, wroźów i nikt na to poradzić nie mógł.

Pod wielkim sekretem opowiadano dziadkowi, jako księcia pana jakoweś mary dręczą. Co noc ledwie się ułoży, zjawiają się duchy ludzi przez niego skrzywdzonych, szarpia go i duszą, wołając, aby oddał, co zabrał. I tak do świtu białego. Już nawet książę z tego wszystkiego skiepciał krzynekę na gębie, a takiemu co mu pomoże, obiecał dać nabitą kieszkę dukatów.

— Ja — powiada Jaśko, na taką dolegliwość mam niezawodny środek. Ale mogę go tylko samemu księciu wyjawić.

Natychmiast dano znać o tem księciu, który kazał dziadowinę stawić przed swoim obliczem.

Wziął się książę w boki i powiada:

— Jak mi, dziadku, dobrze doradzisz, dostaniesz kieszkę dukatów, jak nie, to cię psami wyszczuć każę.

— Wola, waszej książęcej mości — powiada dziadus drżącym ze starości głosem. Sto lat już blisko żyje na świecie, nie jednego doświadczyłem i wiem też nie jedno. Na mary nie dają-

ce spać człowiekowi, jeden tylko jest sposób: zagrać się dobrze pod pierzyną, a potem zdjąć z siebie tę koszulę, w której się układało, zwinąć w kłęb, cisnąć bez okna i mówić: naści, Jaśku biedaku, moją własną koszulę! — i tak zawsze czynić, jak trafi się bezsenność, zmieniając tylko imiona, zamiast Jaśka, wołać Bartłomieja, albo Wojciecha. Samemu świeżą koszulę oblec i jednym susem skoczyć pod pierzynę.

Nie bardzo podobala się ta rada księciu, powiedział dziadowi, że stary jest i głupi i kazał mu zejść z oczu precz.

Ale jak noc nadeszła, jak zaczął przewracać się, pocić na łóżu, a mary zewsząd go opadły, wnet przypomniał sobie gadanie dziada, zdjął co przedją koszulę, cisnął przez okno, wołając gromkim głosem:

— Naści, Jaśku biedaku, moją własną koszulę:

A Jaśko czekał już na to pod oknem, złapał koszulę, włożył ją w zanadrze, żeby nie ostygła.

— „Dziękuję, waszej-książęcej mości“ — zakrzyknął i wzięwszy nogi za pas, czmychnął przez pola i lasy aż na młyn.

Przybieżał, stuka w okienko i śpiewa:

Hej, panie młynarzu, rana nie czekajcie,

Książęcą koszulę sami oglądajcie,

Sami oglądajcie,

Nagrode dawajcie;

Bo mi się należy po sprawiedliwości,

Sprawcie weselisko, zapraszajcie gości!

Młynarz wyszedł, ogląda koszulę, dziwi się cienkości, haftowi i wspaniałej książęcej koronie na znaku, a głową kręci i chrząka jakoś niedobrze — a Kasia przez drzwi głowę wysunęła i mówi:

— Tatusiu, daliście słowo młynarskie.

— Jużci prawda, dałem słowo — odpowiada młynarzysko — ale jakże ty Jasiu będziesz meł mąkę, kiedyś ty szewe?

— Nie bójcie się, panie ojczu — odpowiada Jaśko — we własnym młynie i szewe mąki namiele.

— Ha, kiedy tak, to niech was Pan Bóg błogosławi.

I ożenił się Jaś z Kasią i był bardzo szczęśliwy.

Książę także dobrze wyszedł na radzie Jaśkowej, bo co noc wyrzucał przez okno po jednej koszuli i to już potem spał, jak lis w norze, aż szyby brzęczały od jego chrapania.

Najlepiej przecie wyszli ubodzy w państwie owego księcia — od tej pory żaden z nich nie chodził bez koszuli.

